

Wygrywa logika dowolności

Piotr Zaremba

Ministerstwo Edukacji zignorowało apele, by zachować w liceum choćby kawałki wspólnego kanonu nauczania. Grozi to sprowadzeniem historii do zbioru przyczynków, marginaliów, dygresji.

Spór między zwolennikami i przeciwnikami nowego programu nauczania historii w liceach bywa przedstawiany jako konfrontacja modernistów, rzeczników nowoczesnej szkoły z zacofańcami, rzecznikami wkuwania czy przeciążania uczniów wiedzą – albo jako starcie rzeczników bardziej nowoczesnego i bardziej tradycyjnego patriotyzmu.

Ten pierwszy opis pozwala od razu ustawić strony sporu. Drugi jest mocnym uproszczeniem, ale sygnalizuje przynajmniej, że chodzi tu również o kontrowersję aksjologiczną. Rzeczywiście chodzi również o nią, ale nie tylko o nią.

Kto jest nowoczesny?

Przypomnijmy po raz setny: od reformy Handkego, którą wprowadzono pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, w szkole ponadpodstawowej omawiano całą historię Polski i historię powszechną dwa razy: najpierw przez trzy klasy gimnazjum i jeszcze raz – przez trzy klasy liceum. Reformatory z ekipy Katarzyny Hall stworzyli nowy system: pomijając bardzo wstępne zajęcia w ostatnich klasach podstawówki, cały kurs historii wykładany jest raz: przez trzy klasy gimnazjum i pierwszą klasę liceum. Dwie ostatnie klasy przed maturą to albo powtórzenie całego kursu jeszcze raz – ale tylko dla humanistów (umożliwione dzięki podwójnemu wymiarowi godzin), albo podjęcie nowego przedmiotu: historia i społeczeństwo – dla pozostałych. Przedmiot ten to zbiór bloków tematycznych (modułów) do wyboru. Jeden nauczyciel może zajmować się historią gospodarki, inny – wojskowości, jeszcze inny – dziejami mediów albo – historią rodziny i rolą kobiety poprzez różne epoki, lub też wybranymi zagadnieniami dotyczącymi konfliktów etnicznych i cywilizacyjnych pod wdzięcznym tytułem „swojskość i obcość”. Albo...

Twórcy nowego przedmiotu z prof. Jolantą Choińską-Miką na czele są z siebie dumni. Sądzą, że odkryli nowy patent na zaciekawianie historią – w ostatnich klasach przed maturą

będzie się skakało po tematach i epokach po to, aby o nich swobodnie „dyskutować”. Reklamując swoje dzieło jako nowoczesne i postępowe, nie zauważają jednego: jego powstanie jest konsekwencją szerszej reformy programów w gimnazjach i liceach, która moim zdaniem stanowi krok wstecz. Sprowadza się ona najogólniej do przyjęcia podstawowego założenia: po pierwszej klasie liceum uczeń dokonuje wyboru specjalizacji i wchodzi na ścieżkę edukacyjną, z której bardzo trudno mu już potem zejść.

Rzecznicy takiego wyboru przypominają, że i wcześniej istniała specjalizacja, skoro istniały profilowane klasy. Ale różnice między nimi nie były – zwłaszcza przed reformą Handkego, ale i potem – tak definitywne. Nadrobienie zaległości, jeśli ktoś uznał, że się pomylił, wydawało się łatwiejsze niż obecnie.

Teraz druga i trzecia klasa liceum staje się już faktycznie kursem przygotowawczym do matury i na studia. Niewiele zostaje miejsca do nauki dla nauki. Znika wizja, do której ja jestem przywiązany: że liceum to miejsce, w którym do końca próbujemy różnych potraw, po to, aby się przekonać, która smakuje najlepiej.

Wybór szesnastolatka

Możliwe, że wszystkie te potrawy były zbyt nafaszerowane różnymi składnikami, zbyt ciężkostrawne. I że to należało zmienić. Ale zdawałoby się, że sama zasada jest nie do podważenia: współczesna cywilizacja powinna wydłużać, a nie skracać okres edukacji „ogólnokształcącej”. Zławsza że wiek, w jakim ma zapadać ten definitywny wybór, jest bardzo wczesny. Dziś to siedemnaście lat, ale po przesunięciu matury o rok – w następstwie posłania do szkół sześcioletków – decyzje będzie podejmował szesnastolatek. Czy osiągnie on wystarczającą dojrzałość, by dokonać świadomego wyboru?

W ramach burzliwych, choć bardzo spóźnionych starć wokół tej rewolucji (powinny się zacząć trzy lata temu, kiedy zmiany wchodziły do gimnazjów) zrobiono wiele, aby ośmieszyć stary system. Na przykład przypominano, że historii nie dawało się w nim uczyć od początku do końca – obcinano ostatnie dziesięciolecia.

Czy jednak stworzono tej nauce „od początku do końca” stosowne warunki, skoro na przykład w klasach niehumanistycznych w trzeciej klasie liceum na historię przeznaczano zaledwie godzinę (nowy przedmiot będzie miał dwie godziny)? A czy nadmiernego przeładowania nie można było uniknąć inaczej niż przez całkowitą rezygnację z normalnego historycznego wykładu? Na przykład koncentrując się w gimnazjum bardziej na historii powszechnej, a w liceum – na dziejach Polski (wiedzę o współczesnej polityce światowej można by w takim przypadku uzupełniać wiedzą o społeczeństwie).

Wybrano wersję radykalną, bo to czternastolatek po raz ostatni zetknie się z dziejami starożytnymi, a siedemnastolatek – być może (to zależy od wyboru nauczyciela) z takimi zdarzeniami, jak Powstanie Warszawskie, instalowanie w Polsce komunizmu czy demontaż PRL-u. ▶

Dowolność kontra kanon

Oferta zawarta w modułach wymyślonych przez twórców przedmiotu historia i społeczeństwo jest migotliwa, zwodnicza. Może wręcz zachęcać nauczycieli do wyboru tematyki możliwie niekontrowersyjnej (można ułożyć ten program tak, że będziemy się ślizgać od wojen kolonialnych po analizę działów mody we współczesnych gazetach) poprzez zagadnienia politycznie poprawne (np. „swojskość i obcość”) aż do pójścia za wezwaniami „Krytyki Politycznej”, która walczy z historią „męską i militarną, obciążoną balastem dawnego patriotyzmu”.

Tu widać ślady owego sporu aksjologicznego, o którym wspominałem na początku. Wyczuwa się go zresztą jeszcze wyraźniej, kiedy wczytujemy się w ministerialne wytyczne programowe. Ale nawet istotniejsze jest pytanie podstawowe: czy solidne podłoże historii, zwłaszcza politycznej, nie jest potrzebne każdemu osiemnasto-, dziewiętnastolatkowi? To wtedy wchodzi się w dorosłe życie, staje się obywatelem, zaczyna uczestniczyć w wyborach.

Naturalnie chępiący się nowoczesnością MEN rzadko kiedy przyznaje, że ważnym powodem tej reformy jest coraz większa masowość współczesnej edukacji. Ona każe obniżyć rozmaite poprzeczki. Osiąga się to, rezygnując z wszystkiego, co ogólnokształcące, niepraktyczne, zbyt abstrakcyjne.

Po części uginając się przed różnymi realiami, oponenti reformy z prof. Andrzejem Nowakiem na czele gotowi byli zaakceptować nowy cykl nauczania: cztery lata kursu gimnazjalno-licealnego plus dwa lata wybierania modułów. Proponowali już tylko jedno: aby modułem obowiązkowym stał się dodany w ostatniej chwili blok „ojczysty panteon, ojczyste spory”, opisujący w pigułce polityczne dylematy Polaków od czasów powstań narodowych po PRL. Bez niego groziła sytuacja, w której odpowiednio układający program nauczyciel mógł w praktyce wyeliminować z dwóch ostatnich klas prawie całkowicie najnowszą historię Polski.

Pozorny kompromis

Uczestnicząc w negocjacjach pod auspicjami prezydenta, dodałem kolejną propozycję: aby drugim obowiązkowym modułem stał się blok „rządzący i rządzeni”, pokazujący ewolucję polskiego ustroju na tle europejskim. Ponieważ w sumie trzeba wybrać cztery moduły, dałoby to możliwość

dogodzenia postmodernistycznej swobody z uznaniem pewnych treści i tematów za nadrzędne i obowiązkowo wspólne dla wszystkich.

Można bronić takiego wspólnego kanonu, powołując się na formacyjną rolę historii jako nauczycielki patriotyzmu i obywatelskości. I można przypominać o próbowaniu potraw – nie zastąpi tego „dyskusja” o przypadkowych zagadnieniach.

Ten pomysł spodobał się prezydentowi Komorowskiemu, poparł go całkiem wyraźnie. Ale podczas tak zwanego okrągłego stołu historyków w Pałacu Prezydenckim minister edukacji Krystyna Szumilas zajęła w tej sprawie stanowisko niejasne.

Odrąbiono kompromis, prezydent sfotografował się ze wszystkimi, po czym... otrzymałem od minister Szumilas odpowiedź na list podpisany przez sześciu (spośród czterech) uczestników okrągłego stołu u prezydenta. Pytaliśmy w nim, czy pani minister stanie na gruncie wspólnych ustaleń.

Pani minister niby stoi, a równocześnie nie stoi. Powołuje się na „ofertę rekrutacyjną dla młodzieży” przedstawioną w tym roku przez licea. Jest to argument dziwny: nowy program wchodzi co prawda już od września do pierwszej klasy liceum, ale przecież nowy przedmiot historia i społeczeństwo zacznie się dla licealistów dopiero w klasie drugiej. Mimo to wszystko zostaje po staremu, poza obietnicą, że moduł preferowany przez prezydenta zajmie poczesne miejsce w nowym podręczniku, ale obowiązkowym modułem się nie stanie.

Oskarżani o dogmatyzm tradycjoniści chcieli już tak naprawdę bardzo niewiele. Minimalnych gwarancji dla najnowszej historii Polski lub raczej jej kawałków. Wygrywa logika dowolności. Zachowanie choćby kawałków wspólnego kanonu jest zastępowane groźbą sprowadzenia historii do zbioru przyczynków, marginaliów, dygresji. Nie jest to dobra wiadomość. ■

Piotr Zaremba – publicysta, dziennikarz „Rzeczpospolitej” i „Uważam Rze”

